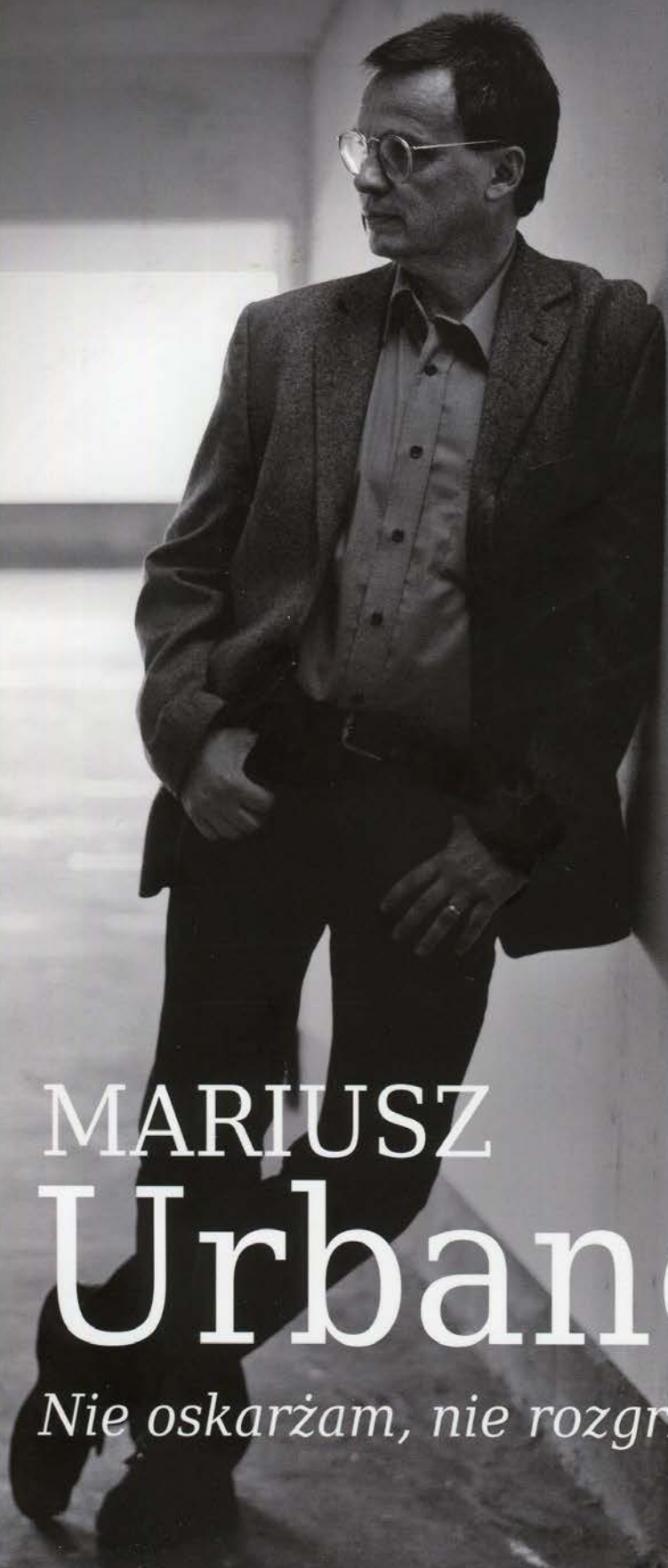


NOWE. 7 | 2013 KSIĄZKI

miesięcznik, rok założenia 1949  cena 9 zł (w tym VAT 5%)



Tomasz Mizerkiewicz

Arkadiusz Morawiec

Maciej Wojtyszko

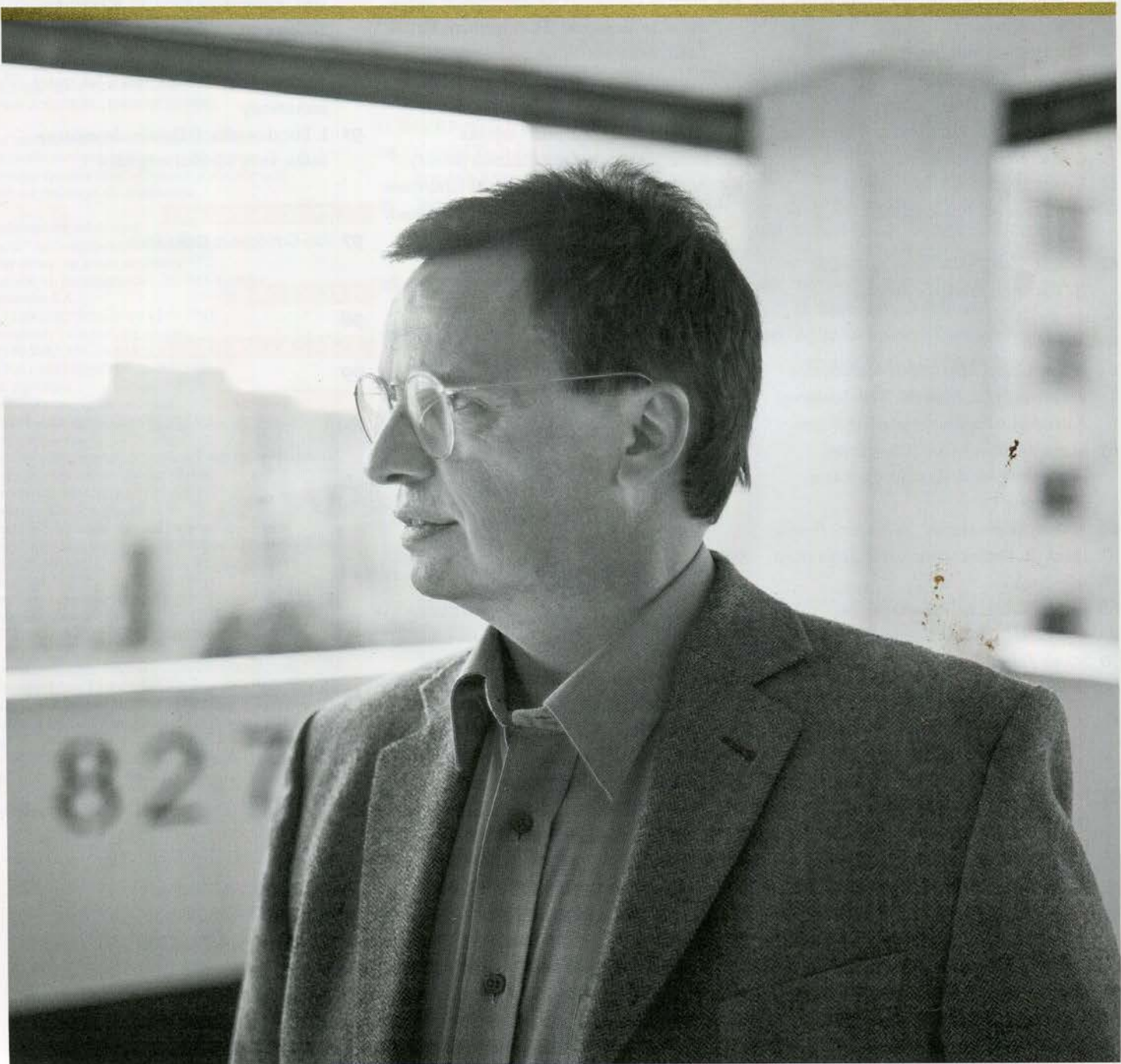
MARIUSZ

Urbanek

Nie oskarżam, nie rozgrzeszam, nie osądzam

Staram się zrozumieć moich bohaterów

Z Mariuszem Urbankiem rozmawia Jagoda Wierzejska



W ostatnich latach ukazało się kilka biografii, które odniosły duży sukces wśród odbiorców: *Broniewski* pańskiego autorstwa, *Miłosz* Andrzeja Franaszka, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza* Radosława Romaniuka. Jak pan ocenia tę tendencję? Czy mamy do czynienia z modą na biografie?

Jeśli przyjąć jako kryterium zainteresowanie czytelników, na pewno tak. Mam wrażenie, że czytelnicy wracają do historii ścieżką biograficzną. Historia opowiadana z perspektywy konkretnego człowieka, oczywiście takiego, który odgrywał w tej historii niepoślednią rolę, jest bardziej zajmująca niż opisy tzw. mechanizmów dziejów. Mówię to także jako czytelnik. Biografia to nie tylko możliwość podglądania czyjegoś życia – również szansa porównania własnego życia z cudzym. Ludzie urodzeni po wojnie nie sprawdzą – mam nadzieję – nigdy, jak zachowaliby się wobec wyzwań niesionych przez wojnę czy faszyzmy. Ale wykluczyć tego nie można. Dlatego dobrze, jeśli mogą przyjrzeć się, jak radzili sobie inni. To ponadto takie ćwiczenia z wyobraźni, pozwalające lepiej zrozumieć przeszłość.

Powiedział pan, że biografistyka jest pewnym sposobem patrzenia na historię. Czy może być też pryzmatem, przez który postrzegamy literaturę?

To zależy od postaci. W przypadku twórców, którymi ja się zajmowałem, widać bardzo wyraźnie przenikanie się życia i twórczości. W utworach odbijają się kolejne etapy życia autorów, a jednocześnie oni – pisząc – reagują na rzeczywistość. Oczywiście są pisarze, którzy starają się oddzielić swoje dzieło od biografii, ale myślę, że nieliczni, i w dodatku jest to nieskuteczne. Prędzej czy później i tak znajdzie się ktoś, kto zastosuje do ich twórczości klucz biograficzny. **Istnieli jednak badacze, którzy usiłovali nie dostrzegać tej interakcji i nie cenili biografii, ba, nie cenili nawet monografii. Mam na myśli strukturalistów. Czy pana zdaniem możliwe jest badanie literatury z pominięciem pierwiastka biograficznego, tak jak wyobrażali sobie ci ostatni?**

Pewnie jest możliwe, ale... kalekie. Nie można mówić o twórczości Gombrowicza, Witkacego, Mickiewicza, Słowackiego, Kafki, Joyce'a, Twaina, Tołstoja, Dostojewskiego, Iberoamerykanów – wymieniać można bardzo długo – ignorując ich życie. I nie chodzi o to, że książki powinny dostarczać informacji tabloidowych, opowiadać o skandalach obyczajowych czy finansowych, w których uczestniczył twórca – chyba że jest to potrzebne do interpretacji jego utworów – ale większość dzieł istotnych dla historii kultury powstało w określonym kształcie właśnie dlatego, że pisali je konkretni ludzie, z określonymi życiowymi doświadczeniami. Kto inny napisałby zupełnie inną książkę.

Spójrzmy jednak na rzecz z drugiej strony: anegdota i skandale bywają dla czytelników ciekawsze niż dzieło literackie. Czy zainteresowanie biografią twórcy nie odciąża czasem czytelników od jego twórczości, zwłaszcza gdy jest ona trudna?

Ryzyko oczywiście istnieje, dlatego bardzo jestem ciekaw, czy wydanie *Kronosa* – przynajmniej na jakiś czas – nie przesłoni zainteresowania tym, co w dziele Gombrowicza najważniejsze, bo ludzie zaczną skupiać się na buchalterii: ile było romansów pisarza i jakie miały charakter. Jeśli chodzi o biografie, wszystko zależy od ich autorów i szacunku do opisywanych postaci. Zakładam, że wybierają oni swoich bohaterów powodowani chęcią dowiedzenia się czegoś więcej o człowieku fascynującym przede wszystkim przez swoje dzieło. Gdyby sensacja miała to dzieło przysłonić, ich praca nie miałaby sensu.

Pisał pan o wielu postaciach: Bolesławie Wieniawie-Długoszowskim, Józefie Piłsudskim, Leopoldzie Tyrmandzie,

Stefanie Kisielewskim, Julianie Tuwimie, Jerzym Waldorffie, Władysławie Broniewskim i ostatnio Janie Brzechwie. Co decydowało o wyborze bohaterów?

Za każdym razem to samo – moje prywatne zainteresowanie tymi osobami. Zakładam, że postać, która jest ciekawa dla mnie, będzie też interesująca dla czytelników. Nie wyobrażam sobie pisanie książek na zamówienie czy wyłącznie dla pieniędzy. Musi być w tym jeszcze jakiś rodzaj zaangażowania emocjonalnego – jeśli sam nie jestem bohaterem zaciekawiony, nie będę potrafił opowiedzieć o nim w sposób zajmujący czytelnikowi.

Wspomniał pan o stosunku emocjonalnym do swoich bohaterów. Czy obiektywizm jest w biografistyce możliwy?

Jest możliwy, choć trudny. Biograf musi starać się być obiektywny; ale nawet nie budując obrazów czarno-białych, nie oceniając opisywanych postaci w kategoriach dobry-zły, nie uniknie się zaangażowania emocjonalnego. Nie można jednak pomijać faktów niewygodnych, bo wtedy przestaje się być uczciwym – wobec czytelnika, swojego bohatera, wreszcie wobec samego siebie. Bardzo chciałem stworzyć biografię Broniewskiego, ponieważ był on człowiekiem o fascynującym życiorysie, mimo błędów, jakie popełniał, i wiedziałem, że w końcu ją napiszę, nawet jeśli trudno będzie znaleźć wydawcę, bo to „komuch”, „dyżurny poeta PRL-u”, „etatowy dostawca wierszy na akademie pierwszomajowe”. Lubię go, ale to nie znaczy, że pomijam cokolwiek, co było w tym życiorysie ciemne: twórczość w okresie stalinowskim czy chorobę alkoholową, która stanowiła traumę dla jego rodziny. Jeśli dowiaduję się o swoim bohaterze czegoś kompromitującego, nie ukrywam tego, bo to też prawda o jego życiu. Podobnie jest w przypadku ostatniej biografii – Jana Brzechwy. Znalazłem więcej przykładów politycznego zaangażowania poety niż ludzie, którzy chcieli wykreślić go z podręczników i życia publicznego. Tyle że ja próbuję zrozumieć, a nie nienawidzę.

Z wykształcenia jest pan prawnikiem. W podejściu do swoich bohaterów częściej przyjmuje pan postawę adwokata czy prokuratora?

Trudno przełożyć rolę z sali sądowej wprost na proces pisania, nawet jeśli dodać postawę biografowi chyba najbliższą – sędziego. Rola prokuratora, poszukującego przede wszystkim dowodów winy, jest mi obca. Rola adwokata, którego zadaniem jest uzyskać dla swojego klienta jak najbardziej korzystny wyrok, bywa, że wbrew prawdzie, oznaczałaby pisanie z tezą, eksponowanie elementów pozytywnych, a ukrywanie kompromitujących. Ja nie oskarżam ani nie bronię za wszelką cenę. Dlatego najbliższa jest mi sytuacja sędziego: jak on staram się zważyć wszystko, co świadczy za moim bohaterem i co jest przeciwko niemu, ale z tym zastrzeżeniem, że nie wydaję wyroku. Staram się moich bohaterów zrozumieć. Próbuję pojąć, dlaczego zrobili coś, czego nie akceptuję i czego – mam nadzieję – sam bym nie zrobił, stając wobec podobnych wyzwań. Dlaczego Broniewski, który spędził półtora roku w więzieniu NKWD, napisał *Słowo o Stalinie*, skąd przedwojenna fascynacja Waldorffa faszyzmem, dlaczego Tuwim tak nagle zakochał się w komunizmie, po co były Brzechwie wiersze wychwalające złodziejską reformę złotego w roku 1950? Ale nie oskarżam, nie rozgrzeszam, nie osądzam. Zresztą ostatecznie i tak zdecyduje czytelnik.

Do którego ze swoich bohaterów miał pan szczególnie ciepły stosunek emocjonalny?

Bardzo polubiłem – i to pewnie widać w książce – Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego. Nadal wydaje mi się, że Wieniawy nie można nie lubić, choć w II Rzeczypospolitej i po drugiej wojnie światowej towarzyszyła mu fama bawidamka, operetkowego dowódcy pułku szwoleżerów, nieodpowiedzialnego alkoholika.

Ja wolę o nim myśleć jako o szarmanckim dżentelmenie, człowieku honoru i szwoleżerze na pegazie. Choć w książce nie ukrywam, że był czas po śmierci Piłsudskiego, gdy to jego barwne pijaństwo dotarło do granicy alkoholizmu, przez który cierpiała rodzina. I nie wiadomo jak by się skończyło, gdyby minister Beck nie wysłał Wieniawy do Włoch jako ambasadora Rzeczypospolitej. O każdym człowieku można opowiedzieć ze złą wolą i można uczciwie.

Czy jest taki bohater, którego pan nie lubił?

Nie ma. Jeśli naprawdę kogoś nie lubiłbym, nie chciałbym marnować wielu miesięcy na przekopywanie się przez jego twórczość, czytanie wspomnień i prywatnej korespondencji tylko po to, żeby sycić tę niechęć. Pracując jako dziennikarz, pisałem polemiki, pamflety, złośliwe felietony, co zresztą robię w miesięczniku „Odra” do dziś, ale były to formy krótkie, którym poświęcałem kilka dni, a nie półtora roku.

Ja się pan przygotowuje do napisania biografii?

Pierwszy etap to gromadzenie wszystkiego, co powiedziano i napisano na temat mojego bohatera i, oczywiście, co napisał on sam. Siedzę w bibliotekach, kiedy muszę; zdecydowanie wolę pracę przy własnym biurku, ale części materiałów nie da się wypożyczyć, dlatego kupuję wszystko, co się da. Drugi etap to ustalenie miejsc, gdzie mogą coś jeszcze znaleźć, czyli archiwów, muzeów, bibliotek, a także osób, które były świadkami życia mojego bohatera. Trzeci – dotarcie do prac naukowych na temat interesującej mnie osoby. Czytam je, ale nie odwołuję się do nich w książkach, które piszę. Moje biografie są w istocie reportażami z przeszłości, ważniejsze jest dla mnie, co opowiada o bohaterze człowiek, który go znał, nawet nie najmądrzejszy człowiek, niż co wie najmądrzejszy profesor. Dlatego nie komentuję tego, co nauka ma do powiedzenia na temat moich bohaterów: nie cytuję ani nie polemizuję. Ale za każdym przedstawionym przez mnie faktem stoi człowiek, który znał bohatera, uczestniczył z nim w jakichś wydarzeniach, rozmawiał. To świadomie przyjęta metoda: czytelnik wie, że fakty, anegdoty, wypowiedzi, które przywołuję, nie pochodzą z trzeciej ręki, ale mają pieczęć autentyczności.

Porozmawiamy więc o pana bohaterach, zaczynając od Wieniawy. W dwudziestoleciu międzywojennym zrobił on błyskotliwą karierę polityczną i wojskową, pełnił wiele ważnych funkcji – był adiutantem i przyjacielem Piłsudskiego, ambasadorem RP, a nawet następcą prezydenta. Pozostała po nim jednak legenda bywalca kabaretów i przyjaciela literatów. Dlaczego?

To opinia bliższa prawdzie niż obowiązująca, zwłaszcza w kręgach endeckich, czarna legenda operetkowego polityka i wojskowego, podlana w dodatku alkoholem, ale też niepełna. Wieniawa nie był tylko kolegą skamandrytów z półpięterka Ziemiańskiej z jednej strony, a trefnisiem Piłsudskiego z drugiej. Był człowiekiem najbliższym Komendantowi, któremu ten powierzył zadanie, jakie można zlecić tylko komuś najbardziej godnemu zaufania. To Wieniawa po objęciu władzy przez Hitlera pojechał do Francuzów, zaproponować im prewencyjne uderzenie na Niemcy. Takiej misji nie powierza się przypadkowemu oficerowi, w dodatku alkoholikowi, bo gdyby wyszła na jaw, byłby skandal na całą Europę. Marszałek wysłał z nią właśnie Wieniawę. Dlaczego więc została po nim przede wszystkim legenda bywalca kabaretów i przyjaciela poetów? Bo taki wizerunek Wieniawy przekazuje większość wspomnień z dwudziestolecia. Wieniawa-mąż stanu – myślę, że takiego określenia można wobec niego użyć – stał się ofiarą własnego stylu życia. Obecność wśród skamandrytów, w Ziemiańskiej,

w środowisku filmowym była tak intensywna, że przesłoniła polityczny wymiar jego wizerunku.

Napisał pan – nawiązując zresztą do słów samego Wieniawy – że jego wady spowodowały, iż stał się pupilem stolicy, a cnoty go zgubiły. Jak pan rozumie ten paradoks?

Legendę Wieniawy stworzyli Lechoń, Słonimski i Tuwim, czyniąc go niejako honorowym skamandrytą, pisząc o nim w „Qui pro Quo”, szopkach „Cyrulika Warszawskiego” i wierszach. Nie ukrywali jego słabości do alkoholu i płci pięknej, ale robili to z takim wdziękiem, że słabości zmieniały się pod ich piórami w cnoty. Zostając ambasadorem we Włoszech, Wieniawa powiedział: „Ludzie szanowani są dla swoich cnót i zalet, a lubiani dzięki wadom. Ja podobno w Warszawie byłem bardzo lubiany. Obawiam się jednak, że wy tutaj będziecie mnie szanowali...”. Przyszło mu – ambasadorem został w roku 1938 – patrzeć, jak Polska, o którą bił się w Legionach, umiera; zapłacił za wierność zasadom, które wyznawał całe życie.

Samobójcza śmierć Wieniawy w 1942 roku wywołała wstrząs w polskim społeczeństwie i dyskusje wśród historyków, które trwają do dziś. Proszę powiedzieć, jakie były okoliczności i – na tyle, na ile to możliwe – motywy skoku generała z trzeciego pietra domu, w którym mieszkał w Nowym Jorku?

Wieniawa przypłacił śmiercią swój patriotyzm – zdradzony patriotyzm. Po klęsce wrześniowej 1939 roku był przez moment głową państwa – konstytucja kwietniowa przewidywała ewentualność delegowania następcy przez prezydenta, który stracił możliwość sprawowania swojej funkcji. Ówczesny prezydent, Ignacy Mościcki, chciał uczynić swoim następcą Kazimierza Sosnkowskiego, ale nie było wiadomo, gdzie on jest i czy w ogóle żyje. Delegowanie władzy prezydenckiej na kogoś, kogo losy nie były znane, wydawało się niemożliwe, dlatego na pewien czas depozytariuszem owej władzy został Wieniawa. Ustupający prezydent był pewny, że człowiek tak wielkiego honoru, jak generał Długoszowski, odda władzę Sosnkowskiemu, gdy tylko ten się pojawi. Nie wykorzysta okoliczności, że został prezydentem i tak naprawdę niczego nie musi oddawać. Nominacja została jednak zablokowana przez rząd Francji, namówiony przez środowiska antysanacyjne: Władysław Pobóg-Malinowski nazwał to zamachem stanu *à la polonaise*. Wieniawa w 1940 roku wyjechał do Ameryki, ale chciał wrócić do wojska, dlatego zdecydował się na współpracę z premierem Władysławem Sikorskim, choć odsunięte od władzy środowiska sanacyjne oskarżyły go o zdradę. Chciał służyć Polsce, nawet jeśli miałaby to być Polska Sikorskiego. Zapewne myślał o poważnej funkcji wojskowej lub politycznej, ale otrzymał stanowisko ambasadora w Hawanie. Był to policzek, Sikorski wyciągnął asa z sanacyjnej talii i ośmieszył go, przebił blotką, używając języka brydżowego. Patriotyzm, który Wieniawa postawił ponad wierność swojej przeszłości politycznej, został odrzucony. Najprawdopodobniej to był powód decyzji o samobójstwie.

Poświęcił pan książkę nie tylko Wieniawie, ale również Piłsudskiemu, choć nie jest ona biografią Marszałka. Piłsudski był czołową postacią polskiego dwudziestolecia. Jan Lechoń stwierdził, że nie można było o nim mówić w kategoriach popularności, bo emocje, jakie wówczas wzbudzał, były całkiem innego rodzaju. Jakie dokładnie emocje wzbudzał w międzywojniu Piłsudski?

Skrajne. Polska była podzielona, chyba nawet bardziej niż dzisiaj. Piłsudskiego kochano albo nienawidzono, wynoszono pod niebiosa albo oskarżano o rzeczy najgorsze. Jedni widzieli w nim człowieka, który dał Polsce wolność, inni zdrajcę, a po przewrocie

majowym wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej. Nawet skamandryci, którzy bardzo długo wielbili Piłsudskiego, widzieli jego autorytaryzm, procesy wytaczane opozycji, obóz w Berezie. Spory o Komendanta nie ustały także po 1935 roku. Moja książka *Polska jest jak obwarzanek* – to cytat z Piłsudskiego – jest książką nie tyle o Marszałku, ile o pewnych wydarzeniach, do jakich doszło już po jego śmierci. Doprowadziły one do uchwalenia przez sejm *Ustawy o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego*. Wprowadzono akt prawny, który miał niewiele analogii w Europie – na pewno w hitlerowskich Niemczech – chroniący konkretną postać historyczną. Zwykle prawo chroni głowę państwa, czasem premiera, ale konkretnego człowieka – rzadko. A ta ustawa mówiła: „Kto uwłacza imieniu Józefa Piłsudskiego, podlega karze więzienia do lat pięciu”. To była moja pierwsza książka, książeczka właściwie, w pewnym sensie łącznik między prawniczym wykształceniem – pierwsza wersja była moją pracą magisterską – a tym, co piszę. Bo w związku z wydarzeniami, które zakończyły się wspomnianą ustawą, spierali się Stanisław Cat-Mackiewicz z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, Melchior Wańkowicz pojedynkował się, a w procesie Stanisława Cywińskiego, który nazwał Piłsudskiego kabotynem, występowali najwybitniejsi przedwojenni adwokaci. To wszystko środowisko bohaterów moich przyszłych książek.

Przejdźmy do ważnych postaci okresu powojennego, o których pan pisał. Książka o Waldorffie nosi podtytuł *Ostatni baron Peerelu*. Co oznaczało być baronem lub – jak mawiała hrabina Anna Branicka-Wolska – arystokratą ducha w socjalistycznej Polsce?

To dwie różne cechy. Bycie arystokratą ducha znaczyło niepoddawanie się PRL-owskiej szarzyźnie, upadkowi obyczajów i więdnieniu urody życia. Waldorff bardzo świadomie kultywował sposób ubierania się, wysławiania, maniery nieprzystające do przasnej rzeczywistości Polski, więc tym bardziej widoczne. Na zewnątrz uczestniczył w codziennym życiu tej Polski, ale wewnętrznie pozostawał niezależny. Natomiast w określeniu „baron Peerelu” kryje się postawa Waldorffa wobec PRL-owskich sekretarzy i ministrów, których traktował jak dziedzic parobków. Relacje na ten temat są bardzo zabawne, bo w kraju dyktatury proletariatu on, potomek ziemian, sprawiał wrażenie, jakby nic się nie zmieniło. Krzyczał, żądał, dawał peerelowskim władcom odczuć, że to za nim stoją szlacheckie korzenie sięgające średniowiecza, niedostępne ludziom z awansu społecznego. Takim zachowaniem wzbudzał podziwy feudalnym lękiem szacunek, jaki chłopcy z czworaków żywili wobec przedwojennych dziedziców.

Kolejną sławą PRL-u, której poświęcił pan uwagę, był Tyrmand. Pańska książka o nim ma specyficzną konstrukcję. Dlaczego zamiast prowadzić tradycyjną narrację biograficzną zdecydował się pan przyrzeć Tyrmandowi oczami tych, którzy mu towarzyszyli, gdy rodziła się jego legenda?

Książka *Zły Tyrmand* to nie jest klasyczna biografia, nazwałbym ją swoistym rewersem *Dziennika 1954*. Opowiadam w niej przede wszystkim o pierwszej połowie lat pięćdziesiątych XX wieku, kiedy rodziła się legenda Tyrmanda. Zacząłem od jego *Dziennika* – jednej z moich lekturowych fascynacji okresu studiów. Sporządziłem listę postaci, o których autor pisał, najczęściej źle, i rozmawiałem z nimi. Punktem wyjścia był zawsze Tyrmand, ale powstała w ten sposób panorama okresu, który jedni nazywają czarnymi latami stalinizmu, a inni – swingującymi latami PRL-u, gdy rodził się jazz. Kiedy pracowałem nad książką, był rok 1991; dziś połowa tych ludzi już nie żyje. To dodatkowa wartość *Złego Tyrmanda*: tamtych spotkań i rozmów nie można już powtórzyć.

Powiedział pan kiedyś, że *Zły Tyrmand* to hołd złożony pisarzowi i zemsta na nim. Dlaczego?

To żart. W czasach, kiedy studiowałem, nastąpił wysyp książek tzw. drugiego obiegu, zwykle bardzo źle wydrukowanych, na kiepskim papierze i podłą czcionką. Uzupełniając lektury wcześniej niedostępne, między innymi Tyrmanda, zapłaciłem za to okularami, które od tamtego czasu noszę. Stąd zemsta. A hołd dlatego, że *Dziennik* otworzył mi oczy na PRL. W miasteczku, z którego pochodzę, wielka historia odbijała się raczej słabym echem, a Tyrmand opisywał czasy nieodległe – kompletnie nieznane albo zakłamanie. I ludzi, którzy w okresie stalinowskim byli w najlepszym przypadku konformistami, a dwadzieścia lat później kreowali się i byli kreowani na autorytety moralne. Ale to znów nie był powód, by nie napisać o pracy Tyrmanda w komunistycznej „Prawdzie Komsomolskiej” w Wilnie w 1940 roku. Albo o tym, że Bogna, legendarnej polskiej lolitce z *Dziennika*, po prostu zabrał kawał dzieciństwa. Owszem, trzydziestoczteroletni pisarz dał nastolatce bardzo dużo, pozwolił szybciej dojrzeć intelektualnie, psychicznie i erotycznie, ale jednocześnie pozbawił ją ważnej części młodości. Bogna, którą odnalazłem, wspomina go z goryczą.

Kontestacja obyczajowa, którą uprawiał Tyrmand, była różnie odbierana. Pisarz bywał podziwiany, ale również nietraktowany poważnie. Dlaczego autorowi *Złego* wydawało się, że nosząc kolorowe skarpetki, walczy z reżimem?

Tyrmand takiego siebie wymyślił, skonstruował pewną postać, którą „nosił” na początku lat pięćdziesiątych jak kostium. Widział, że niektóre zachowania – choćby legendarne kolorowe skarpetki czy afiszowanie się z Bogną – bulwersowały osoby ze środowisk twórczych, posłuszne partii. To pozwalało mu wierzyć, nie do końca bezpodstawnie, że walcząc z nimi, walczy z socjalizmem. Tyrmand psuł dobre samopoczucie żyjącym wygodnie artystom i intelektualistom, usprawiedliwiającym się, że inaczej nie można. Tyrmand pokazywał, że można. Nawet za cenę izolacji i kpin. Przecież on też, jak Wieniawa, przez wielu nie był traktowany poważnie.

Jeszcze innym PRL-owskim bohaterem, którego biografii pan napisał, był Stefan Kisielewski. Dlaczego ten kompozytor, literat i krytyk zaangażował się w działalność polityczną jako poseł na sejm z ramienia grupy „Znak”? Chciał być oficjalnym przeciwnikiem socjalizmu? Kliszko twierdził, że tacy są we Wronkach, a nie w sejmie.

Kisiel miał temperament polityka. Owszem, studiował w konserwatorium, ale bardzo szybko zaczął uprawiać publicystykę w „Buncie Młodych”, a potem „Polityce”, pismach redagowanych przed wojną przez Jerzego Giedroycia. Po wojnie komponował, lecz spełniał się w felietonach w „Tygodniku Powszechnym”, pisząc o polityce, a jak się nie dało, to o gospodarce. Kiedy więc tylko pojawiła się taka możliwość, został posełem. Był rok 1956, wydawało się, że dojście Gomułki do władzy stworzy w miarę normalne warunki działania, katolicycy posłowie mieli akceptację prymasa Wyszyńskiego. Z roku na rok było jednak coraz gorzej i po dwu kadencjach Kisiel zrezygnował. Ale sądzę, że jeśli miałby szansę, to wszedłby do polityki wcześniej i wytrwałby w niej dłużej. Sam twierdził, że gdyby nie PRL, byłby tylko kompozytorem, ale ja mu nie wierzę.

Kisiel pisał o swojej rodzinie, że jest dziwna: albo w niej geniusze, albo wyjątkowi birbanci, albo „tyki i kłapciuchy”. Kogo z rodziny Kisielewskich – której poświęcił pan osobną publikację – uważa pan za najbardziej interesującego?

Książkę o Kisielewskich wymyślił prezes wydawnictwa „Iskry”, Wiesław Uchański. Ja wcześniej napisałem książkę o Kisielu – i to odpowiedź na pytanie, którego z Kisielewskich uważam

za najciekawszego. Stefan był postacią najpełniejszą, jego życiorys pozwala przedstawić właściwie całą historię XX wieku, a to tak naprawdę temat, który opowiadam we wszystkich książkach. Kisiel dojrzał w dwudziestolecie, potem była wojna, PRL, ze wszystkimi przesileniami i odnowami, wreszcie wolna Polska. Oczywiście trzej pozostali Kisielewscy, którzy są filarami opowieści o rodzinie, też byli ludźmi ważnymi dla polskiej kultury. Najmniej może ojciec Stefana, Zygmunt – bardzo dobry felietonista, ale dość słaby powieściopisarz. Fascynująca za to jest postać Jana Augusta Kisielewskiego, stryja Stefana, a brata Zygmunta. Współzałożyciel i pierwszy dyrektor legendarnego Zielonego Balonika był meateorem, który przemknął tylko przez polską dramaturgię. Napisał dwie wybitne, grane do dzisiaj sztuki: *Karykatury* i *W sieci*, które stały się osią spektaklu, a następnie serialu telewizyjnego *Z biegiem lat, z biegiem dni*. Potem jednak zwariował i wielka kariera się skończyła. Jeszcze inny był Wacek, syn Stefana, który gdyby nie zginął tak wcześnie, byłby postacią równie ciekawą jak ojciec. Miał ogromny talent pianistyczny i wraz z Markiem Tomaszewskim podbijał Europę. Ale jego też najbardziej pasjonowała polityka. Wspierał KOR i czasem powtarzał, że był już przed nim jeden pianista, który został premierem, nazywał się Ignacy Jan Paderewski. Nie dożył jednak wolnej Polski.

Jedna z najgłośniejszych pana książek to biografia Broniewskiego, nosząca podtytuł *Miłość, wódka, polityka*. Te trzy słowa doskonale opisują życie poety. Zaczniemy od pierwszego. W życiu Broniewskiego były różne miłości: do ojczyzny, kobiet, córki... Na czym polegała specyfika każdej z nich?

To za każdym razem było inne uczucie. Miłość do Polski, wyniesiona z domu, towarzyszyła poecie przez całe życie, niezależnie od ustroju, ludzi, z którymi przestawał, i tego, co mu robiła ojczyzna. W dwudziestolecie Broniewski cierpiał biedę, był inwigilowany, aresztowany, jego wiersze cenzurowano, a pomimo to w przededniu wojny napisał słynny *Bagnet na broń*, wzywający do obrony ojczyzny mimo krzywd, jakie mu ona wyrządziła. Jeśli chodzi o kobiety – zdecydowanie największym uczuciem poeta darzył córkę, Ankę. W 1947 roku pochował Marię Zarębińską, żegnając ją tak, jak poeta żegna ukochaną, serią wierszy miłosnych, ale to tragicznej śmierci córki w 1954 nie chciał przeżyć. Nie mógł pogodzić się ze stratą – rodzina obawiała się, że chce się zapić na śmierć. W życiu Broniewskiego istniało jednak jeszcze jedno ważne uczucie – do idei. Był socjalistą w najprostszym rozumieniu tego słowa: należy być zawsze po stronie tych, którym dzieje się krzywda. To sprawiało, że w jego wyborach politycznych nie było wyrachowania, ani przed wojną, ani po niej. Owszem, nie odrzucił honorów, które spadały na niego w PRL-u, nie potrafił odmówić napisania pewnych rzeczy, zwłaszcza że zaawansowany alkoholizm powodował u niego atrofie woli, ale był wobec swojego życiorysu bardziej uczciwy niż ci, którzy najpierw zaangażowali się w budowę komunizmu, a po 1956 pisali o sobie per „oni”.

Polityka nazaczyła całe życie Broniewskiego. Dlaczego po pobycie w radzieckich więzieniach poeta zdecydował się najpierw wrócić do kraju, a potem napisać m.in. *Słowo o Stalinie*?

Wrócił do kraju z dwóch powodów. Po pierwsze, nie wyobrażał sobie życia poza Polską; po drugie, kochał Marię Zarębińską. Kiedy będąc jeszcze w Jerozolimie, otrzymał informację, że Maria nie żyje, opłakał ukochaną i zaczął starania o wizę brytyjską. Nie chciał wracać do Polski: przecież przesiedział siedemnaście miesięcy w sowieckich więzieniach we Lwowie i w Moskwie, a w Jerozolimie pisał antysowieckie wiersze, nie pozostawiając wątpliwości, kto odpowiada za zbrodnię w Katyniu. Ale gdy przyszła depesza, że

Maria ocalała i czeka na niego w Łodzi, w jednej chwili postanowił wrócić. A władze PRL uznały to za dar losu: „polski Majakowski” wraca do kraju. Wybaczone mu antysowieckie wiersze, w zamian żądając lojalności. Przez kilka miesięcy był szczęśliwy w Polsce, która mogła się jeszcze wydawać spełnieniem jego marzeń o państwie sprawiedliwym i równym dla wszystkich, gdy okazało się, że Maria jest ciężko chora i wymaga bardzo kosztownego leczenia w klinice w Bernie. Broniewski dostał wsparcie od rządu, ale niewystarczające, więc musiał zarabiać pieniądze. Pisał wszystko, czego od niego żądano: broszury o odbudowie Mostu Poniatowskiego, wezwania do udziału w referendum czy wyborach. Maria jednak zmarła, a poeta zaczął popadać w coraz głębszy alkoholizm. Nie trzymała go już w Polsce miłość, ale nie był w stanie zrezygnować z tego, co mu ofiarowano. Sienkiewicz dostał od narodu Oblęgorzek, Broniewski – luksusową willę na Mokotowie, co prawda od partii, ale szczegóły były nieważne. Zwieńczeniem owych honorów była propozycja Bieruta, aby napisał nowy hymn Polski. Zapytałem kilku znajomych poetów, czy potrafiliby odmówić takiej propozycji – powiedzieli, że nie, bo to przecież przepustka do wieczności. Broniewski odrzucił ofertę, ale był to ostatni akt oporu człowieka zniszczonego przez alkohol i niezdolnego już do buntu. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych napisał szereg wierszy politycznych, w tym właśnie *Słowo o Stalinie*. Utwór miał powstać w trakcie ciągu alkoholowego, ale autor bronił jego wartości artystycznej jeszcze w 1956 roku. Czym to tłumaczyć? Po pierwsze wiernością życiorysowi, po drugie alkoholizmem, a po trzecie przekorą. Przecież wytykali mu ten wiersz ludzie, którzy pisali o Stalinie rzeczy dużo gorsze, a w dodatku z mniejszym talentem. To znamienne, że za *Słowo o Stalinie* Broniewski był bardziej krytykowany w Polsce niż na emigracji. Tutaj atakowali go ludzie, którzy mieli na sumieniu rzeczy bardziej podłe, tam Jerzy Giedroyc czy Kazimierz Wierzyński uważali, że jeśli ktoś miał prawo tak pisać, to właśnie Broniewski, bo zapłacił za to całym swoim życiem.

Po 1989 roku wielu ludzi odsądzało Broniewskiego od czci i wiary. Wykreślano go z programów szkół, pozbawiano tablic pamiątkowych, chciano rozebrać pomnik w rodzinnym Płocku. Czy opinia, że poeta nie jest godny być autorytetem dla Polaków, była sprawiedliwa?

Moim zdaniem, nie. Broniewski, decydując się na powrót do Polski, zgodził się na ograbienie go z ważnej części biografii. Zniknął gdzieś Broniewski legionista, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, którą zakończył z czterema Krzyżami Walecznych i orderem *Virtuti Militari*, zniknął więzień NKWD. PRL-owska szkoła o tym wszystkim nie uczyła, był tylko Broniewski – autor *Zagłębia Dąbrowskiego* i podobnych wierszy, no, może jeszcze tomiku *Anka*. Kiedy wydawało się, że po 1989 roku Broniewski będzie mógł wreszcie odzyskać utracony życiorys i skazaną na niebyt twórczość, okazało się, że ludzie, którzy zmienili Polskę, znają go tylko ze szkoły. Dlatego nazwali go „komuchem” i skreślili z listy lektur. Trafił do poetyckiego czyścica, ale mam nadzieję, że ten czas już się kończy. Że można będzie wreszcie czytać go nie jako piewecę rewolucji, nie jako autora wierszy antysowieckich, nie jako chuligańską literackiego, ale po prostu jako poetę. I człowieka o fascynującej biografii.

Dokonał pan wyboru wierszy Broniewskiego, z którego wynika, że jego twórczość była faktycznie wielowymiarowa.

To przyczynek do odpowiedzi na pani pytanie o relacje między twórczością a życiem. Poezję Broniewskiego, zarówno tę rewolucyjną, jak i liryki miłosne, trudno czytać abstrahując od biografii. Ułożyłem zbiór zgodnie z porządkiem życia poety: są tam wiersze,

w których odbijają się jego doświadczenia wojskowe, więzienne, miłosne, śmierć córki. Jedynym ważnym z tego punktu widzenia wierszem, którego nie ma w wyborze, jest *Słowo o Stalinie*. I ja, i wydawca chcieliśmy, aby się tam znalazł, ale nie zgodziła się na to córka Anki.

Pana najnowsza książka jest poświęcona autorowi słynnej *Kaczki dziwaczki*. Brzechwa pragnął być poetą lirycznym. Dlaczego dość późno i nieoczekiwanie zaczął pisać utwory dla dzieci?

Twierdził, że nigdy nie pisał utworów dla dzieci. Wiersze pisane przed wojną, dziś kanon literatury dziecięcej: *Tańcowała igła z nitką*, *Skarżypyta* czy *Stas Pytalski*, wcale nie powstały dla dzieci, tylko dla rozbawienia towarzystwa, z którym poeta spędzał deszczowe wakacje, a w szczególności dla pewnej pięknej przedszkolanki, którą chciał uwieść. Nie wiem, jak poszło z przedszkolanką, ale towarzystwu się one spodobały. Brzechwa zaniósł utwory do wydawcy, który – ku zaskoczeniu autora – oświadczył, że je opublikuje, ale jako wiersze dla dzieci. I tak już zostało. Brzechwa jednak wielokrotnie mówił, że zawsze chciał być lirykiem. Miał kompleks bajkopisarza z dwóch powodów: dlatego że długo sam nie cenił swojej twórczości kwalifikowanej jako literatura dziecięca; i że środowisko literackie uważało tę twórczość za niepoważną, a autora za dostarczyciela dziecięcej galanterii. Fakt, że Brzechwa w istocie nie pisał dla dzieci, znalazł paradoksalne potwierdzenie w atakach krytyków, którzy zajmowali się literaturą dziecięcą. Zarzucali mu, że jego wiersze są antypedagogiczne, za dużo w nich nonsensownych zabaw słowem, za to brakuje morału. Postaci tak etycznie wątpliwe, jak Pchła Szachrajka czy Lis Witalis, czerpią korzyści z zachowań nagannych. Cóż, jeśli założymy, że wiersze dla dzieci muszą mieć wyraźną oś moralną, to Brzechwa faktycznie dla dzieci nie pisał. Ale wziął go w obronę Kazimierz Wyka, którzy stwierdził, że jeżeli dzieci są utworami Brzechwy zauroczone, a pedagodzy nie, to problem tkwi raczej w pedagogach.

Poeta z zawodu był prawnikiem, specjalizował się w prawie autorskim. Dlaczego po wojnie zrezygnował z adwokatury i zajął się przede wszystkim pisaniem?

Dlatego że dużo bardziej niż prawnikiem chciał być pisarzem. Przed wojną adwokatura, podobnie jak kabarety, dla których sporo pisał, dawały Brzechwie pieniądze. Poeta lubił wygodne życie, dobre ubrania, wysokiej jakości pióra, papier, na którym nie robiły się kleksy – to wszystko zapewniał mu zawód adwokacki. Prawdopodobnie już przed wojną wołałby żyć wyłącznie z pisania, ale było to niemożliwe, dlatego robił to, czego się nauczył, dorabiając w kabaretach. Zrezygnował z adwokatury w 1947 roku, ale wówczas w krótkim czasie ukazało się jego dwadzieścia książek, i to w ogromnych nakładach! Rynek, wyjałowiony przez okupację, był chłonny, twórczość poety miała wsparcie państwa i nagle okazało się, że z pisania da się żyć.

W okresie stalinowskim Brzechwa napisał kilka wierszy politycznych, popierających działania partii. Dlaczego to zrobił? Z zamiłowania do wygodnego życia, o którym pan wspominał?

W powojennych zachowaniach Brzechwy było sporo konformizmu, wynikającego jednak z wyboru, który był wyborem dramatycznym. W latach 1945–47 poeta zaangażował się w ideologiczny spór między emigracją a ludźmi, którzy zdecydowali się na pozostanie w kraju – o to, czym właściwie jest nowa Polska: krajem, który warto budować i w którym można żyć, czy państwem okupowanym przez ZSRR, z którego trzeba uciekać. Brzechwa w bardzo emocjonalnym, poetyckim sporze z Marianem Hemarem bronił racji, które skłoniły wielu ludzi, takich jak Iwaszkiewicz, Kisielewski czy

Dąbrowska, do pozostania w kraju. Późniejsze utwory poety, choćby tomik będący peanem na cześć planu sześcioletniego, stanowiły konsekwencję opowiedzenia się po konkretnej stronie. Brzechwa, owszem, nie potrafił zrezygnować z wygodnego życia i był w imię tego gotów na wiele koniunkturalnych zachowań, ale robił to bez specjalnych wyrzutów sumienia, bo wcześniej dokonał wyboru. Poza tym istniała granica, której nie przekraczał. Na początku lat pięćdziesiątych osławiona Luna Bristigerowa zażądała od niego zeznania przed sądem, że Wawrzyniec Jastrzębiec Rudnicki donosił w czasie wojny na Żydów. Brzechwa mógł bardzo wiele stracić, a już na pewno spokojne życie, ale odmówił.

Był kochliwy. Miał trzy żony i córkę. Która kobieta była w jego życiu najważniejsza?

Zdecydowanie ostatnia żona, Janina Serocka. Brzechwa cieszył się powodzeniem wśród kobiet. Jego pierwsze małżeństwo z kuzynką, Marią Sunderland, trwało niedługo; kiedy urodziła się jedyna córka poety, Krystyna, związek już nie istniał. Krysia zobaczyła ojca po raz pierwszy, gdy miała dziewięć lat. Drugie małżeństwo Brzechwy – z Karoliną Meyer, córką bogatego warszawskiego przedsiębiorcy – skończyło się w późnych latach trzydziestych. W czasie okupacji poeta zakochał się w Janinie, i ta miłość obrosła legendą. Pisali i opowiadali o niej Tadeusz Konwicki, Marian Brandys, Józef Hen. Brzechwa był tak owładnięty uczuciem, że żył jakby otoczony niewidzialnym kokonem. Chodził po ulicach Warszawy, choć wielu ludzi wiedziało, że jest Żydem. Raz został nawet zadenuncjowany i trafił na gestapo. Miał powiedzieć Niemcom, że mogą go zabić – jemu i tak nie zależy na życiu, bo kobieta, którą kocha, odrzuciła go. Odpowiedź była tak absurdalna, że gestapowcy wyrzucili go za drzwi. Brzechwa był już na dziedzińcu, gdy przypomniał sobie, że zostawił torcik. Wrócił, przeprosił i zabrał zgubę, a zaskoczeni Niemcy nawet nie oponowali. Tyle – legenda o miłosnym amoku, który anulował rzeczywistość, choć pewnie prawda była nieco bardziej prozaiczna. Przez pierwsze dwa lata wojny poeta ukrywał się poza Warszawą, a potem, aż do powstania, strzygł żywopłoty na Służewcu. Służewiec był wówczas częścią niemieckiego przedsiębiorstwa zajmującego się hodowlą koni – pracownicy mieli bardzo dobre niemieckie papiery, które zapewniały względne bezpieczeństwo.

Niedawno rozpętała się nagonka na Brzechwę jako patrona szkół. Z czego wynikała i co mówi o dzisiejszym polskim społeczeństwie?

Zaczęła się od ataków na Brzechwę Jerzego Roberta Nowaka, tropiciela bardziej lub mniej wyimaginowanych wrogów Polski, od „Gazety Wyborczej” po Watykan. W Dmosinie pod Łodzią chciano nazwać szkołę imieniem Brzechwy. Na początku wszyscy się zgodzili, aż pojawił się anonim, że poeta to Żyd, co z definicji miało pozbawić go prawa do patronowania czemukolwiek. Tej tezy bronić było trudno, bo nawet skrajna prawica rzadko posługuje się argumentami jawnie antysemitkami, dlatego najpierw Nowak, a za nim inni zaczęli pisać, iż nie chodzi o to, że Brzechwa był Żydem, tylko o to, że wspierał Stalina. Awantura trwała długo, ale ostatecznie poeta został patronem szkoły w Dmosinie, a biskup łowicki poświęcił sztandar z jego imieniem. Nie wiem, czy na podstawie tej sytuacji można stawiać diagnozy dotyczące całego społeczeństwa, ale na pewno da się ocenić środowisko, które odnosi się do takich ludzi, jak Brzechwa, z ewidentnie złą wolą, przekonując, że ich winy unieważniają dokonania. W przypadku mojego bohatera ta zła wola wyszła na jaw w zabawny sposób. W wierszu *Marsz*, który Brzechwa napisał z okazji „zjednoczenia” PPR i PPS, jest fraza: „kto przeciw nam, siła go złamie”. W jednym z wydań tego utworu

popelniono błąd: zamiast słowa „siła” pojawiła się „piła”. W wersji ze słowami „kto przeciw nam, piła go złamie” wiersz zaczął być wykorzystywany jako dowód na to, że Brzechwa nawoływał do torturowania więźniów politycznych.

W esaju *Podjejrzone pochodzenie jako kategoria kultury polskiej* Irena Grudzińska-Gross bardzo krytycznie pisała, że żydowskość często bywa wykorzystywana jako argument „kompromitujący” twórcę. Spotkało to nie tylko Brzechwę, ale również Tuwima.

Tuwimowi podobne oskarżenia towarzyszyły całe życie, w dużo większym stopniu niż Brzechwie; po prostu wybitny poeta bardziej rzucał się w oczy i bardziej irytował „prawdziwych” Polaków. Zaczęło się już od wiersza *Wiosna. Dytyramb* – pisano, że oto żydowski pornograf deprawuje polską młodzież. Potem atakowano go już właściwie za wszystko, wysuwając argumenty absurdalne, choćby ten, że nie potrafi pisać po polsku. Wyjątkowość sytuacji Tuwima polegała na tym, że padł ofiarą napaści i ze strony polskiej prawicy, i ze strony nacjonalistów żydowskich. Nie był u siebie ani wśród „prawdziwych” Polaków, ani wśród „prawdziwych” Żydów; dobrze czuł się tylko z ludźmi takimi jak Lechoń czy Słonimski, wywodzącymi się z rodzin zasymilowanych. W czasie wojny Tuwim napisał słynny manifest *My, Żydzi polscy*. Stanął w nim po stronie mordowanych Srułów i Jojnów, mówiąc, że choć nie łączy ich wspólnota kultury, zawsze łączyć będzie krew. Brzechwę zaatakowano dopiero wtedy, gdy wydał tomik poświęcony Piłsudskiemu, zatytułowany *Imię wielkości*. Endecka prasa zawyla: nie będzie Żyd uczył nas patriotyzmu!

Poza wieloma biografiami napisał pan również *Romans biurkowy* czyli 99 dni z życia korporacji, w którym tytułową instytucję przedstawił pan w dużo jaśniejszych barwach niż na przykład Sławomir Shuty czy Krzysztof Varga. Jaka jest geneza tej książki?

Romans biurkowy powstawał jako zbiór felietonów pisanych co tydzień w internecie na zamówienie pewnego banku. Wyobraziłem sobie oddział tegoż banku z kilkoma wyrazistymi postaciami: demonicznym dyrektorem, którego wszyscy się boją; panią Marią z działu prezydialnego, wielbielką horoskopów; panią Zofią z działu kredytów, która nie odróżnia umowy o kredyt od cyrografu; radcą prawnym, który zajmuje się głównie piętrzeniem trudności, ale potrafi usprawiedliwić każde głupstwo; sekretarką odzianą w spódniczkę, na którą potrzeba mniej materiału niż na chusteczkę do nosa itd. Żyją oni w zamkniętym świecie, rozmawiają, komentują rzeczywistość, romansują, czasem pracują... Powstała opowieść o biurze jakby wprost z historyjek Scotta Adamsa o Dilbercie, do którego trafił dorosły Mikołajek z książek Sempé i Goscinnego. Kiedy moje teksty przestały się ukazywać – bo kryzys! – jedna z pracownic banku wysłała mi e-mail: „No niestety, tego się właśnie obawiałam, że po kawie, herbacie, wodzie z dystrybutora i dofinansowaniu języka angielskiego obetną pana felietony. Wielka szkoda, to dla mnie większa strata niż kawa i herbata”. Kiedy więc pojawiła się propozycja, żeby je wydać, pomyślałam: dla czego nie? Posty czytelników pod felietonami też pozwalały sądzić, że się podobają. Tekstów powstało blisko dwieście pięćdziesiąt, wybrałem dziewięćdziesiąt dziewięć. Mówi pani, że wyszła z tego korporacja z ludzką twarzą? Raczej oswojona, a więc taka, której nie ma powodu się bać.

Jeszcze inny krąg tematyczny pana twórczości wyznacza Wrocław, miasto o skomplikowanej historii, w którym mieszka pan od wielu lat. Czym pana zafascynowała ta metropolia?

Jestem wrocławianinem z miłości. Przyjechałem tu na studia i już nie chciałem wyjeżdżać. Moja literacka przygoda z Wrocławiem

zaczęła się od bajek. Kiedy urodziły mi się dzieci, chciałem im opowiedzieć bajki o tym mieście, ale okazało się, że ich nie ma. Są o warszawskiej złotej kacze, o smoku wawelskim, o poznańskich koziołkach, a o Wrocławiu nie. Zacząłem szukać i znalazłem ślady legend istniejących w czasach niemieckich, które w 1945 roku padły ofiarą tezy, że we Wrocławiu nawet kamienie mówią po polsku, a Polska Ludowa zaczęła się niemal bezpośrednio po Piastach śląskich. Po drodze nie było nikogo: ani Czechów, ani Austriaków, a tym bardziej Prusaków czy Niemców. Te znalezione legendy musiałem nieco „ubajkować” i tak powstał *Mostek czarownic*, najpierw dla moich dzieci, a potem już dla wszystkich. Zupełnie inną publikacją wrocławską jest tom *Zrób sobie Wrocław* z rysunkami Tomasza Brody. Grafik stworzył najbardziej charakterystyczne obiekty wrocławskiej architektury z elementów zaskakujących, na przykład katedrę z dwóch piszczalek, wygrzyzionych wafli i czerwonych dzinśów odwróconych do góry nogami, tak że do świątyni wchodzi się – o zgrozo! – przez rozporek. Warstwa tekstowa książki to satyryczna opowieść o dziwnym mieście, którego historia zaczęła się od czeskiego księcia Wratisława – o którym wiemy wszystko, nawet kiedy umarł, ale nie wiemy, czy w ogóle żył. Książka wyszła w momencie, kiedy Wrocław odzyskał już historyczną pamięć. W PRL-u zacierano niemieckie dzieje miasta do tego stopnia, że jego jedyna opublikowana w tym czasie historia kończyła się na roku 1807; później była czarna dziura. Po 1989 najpierw trzeba było ją zasypać, a kiedy to się udało, uznałem, że pora, by się z tej historii także pośmiać.

Z naszej rozmowy wynika, że pana dorobek jest bardzo urozmaicony. W jakim kierunku tematycznym pójdą pana najbliższe prace?

Jeszcze w tym roku wyjdzie książka o Tuwimie – zupełnie inna niż tom, który ukazał się 2004 roku w serii Wydawnictwa Dolnośląskiego *A to Polska właśnie*. Tamta seria, aczkolwiek miała znakomity odbiór, stanowiła serwitut na rzecz cywilizacji obrazkowej: podpisy pod zdjęciami i rysunkami zajmowały prawie tyle samo miejsca co tekst główny. Książka, która ukaże się nakładem „Iskier”, będzie klasyczną biografią, taką jak książki o Broniewskim czy Brzechwie. Natomiast temat, nad którym zacząłem już pracę, może okazać się sporym zaskoczeniem. Bohaterem nie będzie pisarz, ale matematycy z lwowskiej szkoły matematycznej. Rzecz jasna, nie będę pisał o zagadnieniach *stricto* matematycznych, bo nie mogę udawać, że się na tym znam. Chcę opowiedzieć o pewnym fenomenie, jakim było spotkanie we Lwowie, także szczególnym miejscu Polski, grona matematycznych geniuszy, z których każdy zapisał się na trwałe w historii nauki. Rzecz będzie opowieścią o twórcach tzw. Księgi Szkockiej, czyli zeszytu, w którym lwowscy matematycy zapisywali w latach 1935–41 problemy do rozwiązania. Nagrodą był kufel piwa albo pięć, żywa gęś lub fondue w Hotelu George we Lwowie. Cześć zagadnień została rozwiązana, nad innymi do dziś biedzą się matematycy na całym świecie. Osią książki będą życiorysy czterech matematyków: Stefana Banacha, największego z nich, który – gdyby żył dłużej (zmarł w 1945 roku) – prawdopodobnie dałby Polsce matematycznego Nobla; Hugona Steinhausa, znanego także z aforyzmów na miarę Stanisława Jerzego Leca; Stanisława Ulama, który w czasie wojny pracował w amerykańskim ośrodku badań jądrowych w Los Alamos nad budową bomby atomowej, a później był współtwórcą bomby wodorowej; i w końcu – Stanisława Mazura, matematyka, który po wojnie robił także karierę polityczną. Różnorodność ich losów pokazuje, jak niezwykle byli to ludzie. Spróbuję opowiedzieć o genialnych matematykach, pomimo że tego, czym jest całka Lebesgue’a, pewnie nigdy nie zrozumieć. ☺

MARIUSZ Urbanek



Pisarz, publicysta i dziennikarz, z wykształcenia prawnik.

Urodził się 18 października 1960 r. w Krapkowicach, w województwie opolskim. Ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 1983-90 pracował w magazynie studenckim „itd”, następnie w „Przeglądzie Tygodniowym” (1990-91) oraz tygodniku „Wprost” (1992-93). Między 1994 a 2004 r. był reporterem „Polityki”. W latach 1997-2001 współtworzył cykliczny program telewizyjny *Jestem* (rozmowy z wykonawcami tzw. piosenki środka), realizowany dla TV Polonia i Programu II TVP. Był współtwórcą, zastępcą redaktora naczelnego, a później współpracownikiem „Tygodnika Internetowego TIN”, który ukazywał się w latach 2001-04; w 2005 r. współtworzył tygodnik Dolnego Śląska „Piątek” i był zastępcą redaktora naczelnego. Od 2006 do 2011 r. pracował w „Gazecie Wyborczej Wrocław”, redagując dodatek reporterski „Wieża Ciśnień” i kierując działem kultury. W latach 2007-08 ogłaszał felietony w „Gazecie Giełdy Parkiet”. Począwszy od 1989 r. prowadzi dział publicystyki i historii we wrocławskim miesięczniku „Odra”. Od 1991 r. publikuje tam felietony z cyklu „Stan przejściowy” - ich wybór zaprezentowała książka *Przecieki niekontrolowane* (2001), bardzo pochlebnie oceniona m.in. przez Stanisława Lema. Od 2012 r. kieruje także Gabinetami Świadków Historii w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu.

Zadebiutował w 1988 r. rozprawą poświęconą *Ustawie o ochronie Imienia Józefa Piłsudskiego*, zatytułowaną *Polska jest jak obwarzanek*. Najbardziej znany jest z książek biograficznych, z których pierwsza - *Wieniawa. Szwoleżer na Pegazie* - ukazała się w 1991 r. Kolejne o tym charakterze to: *Zły Tyrmand* (1992; znacznie poszerzona wersja - 2007), *Kisiel* (1997), *Tuwim* (2004), *Kisielewscy: Jan August, Zygmunt, Stefan, Wacek* (2006), *Waldorff. Ostatni baron Peerelu* (2008). W 2011 r. książka *Broniewski. Miłość, wódka, polityka* zdobyła nominację do Nagrody Literackiej „Srebrny Kałamarz” im. Hermenegildy Kociubińskiej oraz nagrodę jury i internautów w konkursie i plebiscycie na najlepszą książkę historyczną „Historia zebrana” (edycja zimowa 2012) w kategorii „Perły z lamusa”. W 2011 r. wydał także wybór poezji Broniewskiego *Wierszem przez życie*.

Inny krąg tematyczny twórczości Urbanka stanowią publikacje poświęcone Wrocławowi, w którym pisarz mieszka nieprzerwanie od czasów studenckich. Należą do nich m.in.: *Mostek czarownic. Baśnie wrocławskie* (1996), *Zrób sobie Wrocław* (opowieść z rysunkami Tomasza Brody; 1997), *Powódź. Wrocław, lipiec 1997* (album fotograficzny, w którym pisarz opracował tekst i układ zdjęć; 1997), *Opowieści kantora Dawida* (2003), *Wrocław z nieba. Ostrów Tumski* (album ze zdjęciami Macieja i Tadeusza Szwedów; 2004), *Baśnie dolnośląskie* (2005), *Podróże przez Dolny Śląsk* (album ze zdjęciami Stanisława Klimka; 2005), *Legends wrocławskie* (2008) oraz *Wrocławskich krasnali historie prawdziwe* (2010).

Najnowsza książka Mariusza Urbanka - *Brzechwa nie dla dzieci* - to prezentacja postaci i dorobku słynnego autora bajek tworzących kanon literatury dziecięcej.

J.W.

ISSN 0137-8562



07

INDEX 36682X